

Po co nam Litwa?

24 | 24.lt /pl/opinie-i-komentarze/item/99971-po-co-nam-litwa

© L24
(fot.



Marian Paluszkiwicz)

Dominujący w dyskusji publicznej zwolennicy ugodowej polityki wobec Litwy twierdzą, że polityka twarda w niczym nie pomogła realizacji polskich interesów wobec niej. Fałsz takiego twierdzenia polega na tym, że Polska nigdy twardej polityki wobec Litwy nie prowadziła.



Artykuł ukazał się pierwotnie w tygodniku "Do Rzeczy" nr 43/142 19-24 października br.

Polskie elity z masochistycznym uporem od 25 lat usiłują zdobyć uznanie elit litewskich dla idei „strategicznego partnerstwa” jakie ma łączyć nasze państwa i narody. Gdy 2 września, w dzień bezprecedensowego strajku uczniów polskich szkół w Wilnie, nad Wilią pojawił się wicemarszałek Sejmu Marek Kuchciński „by przekazać wyrazy poparcia i solidarności” wobec rodaków, nie potrafił odmówić sobie płacziwego apelu do Litwinów „nie psujmy tego co nas łączy”. Z kolei 10 września świeżo upieczony

poseł Michał Dworczyk w czasie sejmowej dyskusji nad uchwałą właśnie w sprawie pogarszania sytuacji polskiej oświaty na Wileńszczyźnie, nie podarował sobie asekuracyjnej uwagi, że „Polska i Litwa są naturalnymi partnerami” i to mimo tego, że „praktycznie od początku lat 90 sytuacja mniejszości polskiej na Litwie powoli ale konsekwentnie ulega pogorszeniu”. Dworczyk w dodatku zadeklarował, że jest w pełni świadomy iż elity litewskie dążą de facto do likwidacji polskich szkół w ich obecnej formie i ograniczenia języka polskiego jako wykładowego do dwóch przedmiotów. Zgryźliwie zauważył, że nawet „w czasach sowieckich młodzi Polacy mogli uczyć się w języku polskim od przedszkola do matury”. Dworczyk, od lat zaangażowany w sprawy kresowych Polaków i prawdopodobny wiceminister spraw zagranicznych odpowiedzialny za ten zakres w przyszłym rządzie PiS, ma rację. Cóż z tego, skoro jedynym praktycznym wnioskiem jaki wyciąga, podobnie jak pozostali polscy politycy, to dalsze narzucanie się Litwinom z „naturalnym partnerstwem”. Pozostałe głosy z politycznego i medialnego głównego nurtu brzmią na podobną żalną nutę, dźwięczącą tym samym wyrzutem pierwszego zawodu miłosnego pensjonarki – jak możecie nam to zrobić? – nieodmiennie pytają Litwinów polscy politycy.

Obojętność wobec Polaków

Dziś przynajmniej zauważają, że „naturalny partner” poczyna sobie nie bardzo po partnersku. To już sukces, bo nie zawsze tak było. Do rangi symbolu urasta fakt, że Rzeczpospolita oficjalnie nawiązała stosunki dyplomatyczne z Republiką Litewską 5 września 1991 r. Dzień po tym gdy władze litewskie ze złamaniem własnego prawa rozpędziły samorządy w zamieszkanym w większości przez Polaków rejonach wileńskim i solecznickim. Była to kara za dążenie lokalnych działaczy do nadania tym samorządom cech narodowościowej autonomii terytorialnej. Nota bene Warszawa nigdy nie poparła autonomicznego programu Polaków Wileńszczyzny. Polityka instytucjonalnej dyskryminacji realizowana od ćwierćwiecza przez litewskie władze ex post w pełni potwierdza zresztą wszystkie obawy naszych rodaków i usprawiedliwia ich dążenia do autonomii sprzed ćwierćwiecza.

Po rozbiciu samorządów aż do marca 1993 r w obu rejonach praktycznie autorytarną władzę sprawowali rządowi komisarze. Ich głównym zajęciem okazała się taka realizacja reprivatyzacji ziemi dawnych kolchozów by znaczna część gruntów zabranych niegdyś przez władzę sowiecką polskim rodzinom trafiła w ręce przybywających z innych części kraju Litwinów. Badacz tematu prof. Zbigniew Kurcz z Uniwersytetu Wrocławskiego ocenił ich działania jako „wewnętrzną kolonizację” obliczoną na zmianę stosunków narodowościowych w regionie metodami administracyjnymi i opisał ją historycznym odwołaniem do pruskich „rugów ziemskich”. Nieraz zresztą prowadzonych drastycznymi metodami – 27 kwietnia 1993 komisarz Arturas Merkys sprowadził do podwileńskiej wsi Gudele żołnierzy, ci strzałami w powietrze rozpędzili miejscowych polskich chłopów protestujących przeciw rozdzielaniu ziemi należącej przed kolektywizacją do ich przodków. Polskie władze początkowo stawiały litewskim warunek przywrócenia samorządów w rejonach wileńskim i solecznickim, nie były jednak zbyt konsekwentne gdyż już 13 stycznia 1992 minister spraw zagranicznych RP Krzysztof Skubiszewski przybył do Wilna i podpisał „Deklarację o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy”. W latach 1992-1996 Rzeczpospolita delegowała jako swojego ambasadora do Wilna Jana Widackiego, który jako głównego winowajcę konfliktu polsko-litewskiego ukazywał mniejszość polską, nie szczędząc jej krytyki.

Przez lata, zgodnie z dominującą w myśleniu polskich elit o wschodzie ideologią giedroyciowską, Polaków na Wileńszczyźnie przedstawiano w kategoriach obciążenia i przeszkody dla ułożenia sobie pożądanych pozytywnych relacji z Litwą. A konieczność „strategicznego partnerstwa” z nią przyjmowano na zasadzie dogmatu. Dopiero pod koniec ubiegłej dekady oficjalna Warszawa zaczęła głośniejsz podnosić kwestię dyskryminacji naszych rodaków na Wileńszczyźnie. Rzeczywistość bowiem aż nazbyt dojmująco obnażała miałość przekonania o „naturalności” sojuszu z Litwą. Elity litewskie chętniej bowiem spoglądały w kierunku Skandynawii, również w kontaktach z czołowymi mocarstwami zachodnimi nie miały zamiaru korzystać w polskiego pośrednictwa. Tendencja ta tylko nasiliła się w ubiegłej dekadzie po przystąpieniu obu naszych krajów do UE i NATO. Litwini lekceważyli Polskę w sposób wręcz demonstracyjny. Podczas wizyty Lecha Kaczyńskiego w Wilnie 6 kwietnia 2010 r. litewski parlament

odrzuć projekt ustawy zezwalający na oryginalną pisownię nazwisk miejscowych Polaków, co przecież w obliczu problemów polskiej oświaty czy niesprawiedliwej reprivatyzacji jest i tak najmniej skomplikowanym zagadnieniem w zakresie praw polskiej mniejszości.

Dopiero ten policzek oraz ustawa z 2011 r. pogarszająca wyraźnie warunki funkcjonowania polskich szkół, gwałtownie oprotestowana na ulicach Wilna przez miejscowych Polaków, skłoniły rząd Tuska do zmiany narracji. Ówczesny premier udał się nawet 4 września 2011 r. do Wilna gdzie trwał pierwszy strajk polskich uczniów i zadeklarował wobec nich, że „relacje między Polską a Litwą będą tak dobre, jak dobre są relacje państwa litewskiego z polską mniejszością”. Jeszcze mocniejszych słów używał były minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, który oświadczył jego „noga nie postanie na ziemi litewskiej”, dopóki Litwa nie zaprzestanie dyskryminacji naszych rodaków. Prawda jest taka, że był to tylko papkinowski teatr gromkich słów. Tusk w praktyce spacyfikował wówczas polski strajk, który konsekwentnie prowadzony mógł obronić polskie szkoły przed niekorzystną nowelizacją ustawy będącej źródłem ich obecnych problemów. Państwo polskie nadal zaś dawało Litwie wszystko to czego od nas potrzebowała.

Dogadzanie Litwinom

Na najbardziej fundamentalnym dla każdego państwa poziomie Polska jest jednym z gwarantów litewskiego bezpieczeństwa. Ponieważ Litwa nie posiada własnego lotnictwa bojowego jej przestrzeń powietrzna, jak również Łotwy i Estonii, objęta jest natowską misją Baltic Air Policing. Od 2004 r. Wojsko Polskie sformowało już sześć zmian Polskiego Kontyngentu Wojskowego „Orlik” w ramach którego polskie myśliwce z bazy w Szawlach patrolowały między innymi litewskie niebo. Jedynie Niemcy byli bardziej zaangażowani od nas w tę misję Sojuszu (obsłużyli osiem zmian). Od 30 kwietnia zeszłego roku gorliwie dążyliśmy odsłużyć już dwie zmiany.

W 2006 r. PKN Orlen nabył od rosyjskiego Jukosu (53,7% udziałów za 1,49 miliardów dolarów) oraz rządu Litwy (30,66% za 852 mln dolarów) rafinerię w Możejkach. W czasie podpisywania jednej z umów brylował w Wilnie ówczesny premier Jarosław Kaczyński. Po wykupie pozostałych akcji od drobnych posiadaczy polska spółka stała się jedynym właścicielem. W Polsce nawet nie ukrywano, że inwestycja ma przesłanki polityczne – wyautować Rosjan z Litwy, co rozpatrywano właśnie w ramach „strategicznej współpracy” i co zresztą sugerowali Litwini, choć sami Rosjanie nie palili się wcale do inwestowania w Możejkach. Nie zmarnowali natomiast okazji by uprzykrzyć życie konkurencji – Transneft odciął ropę płynącą do tej pory do Możejek rurociągiem „Przyjaźń-Północ”. Rosjanie mówili o nieopłacalnej w naprawie „awarii”. Dzięki Wikileaks dziś już wiemy, że awarię zarządził rosyjski wicepremier Igor Sieczyn.

Znacznie bardziej zaskakujące okazało się „podziękowanie” ze strony państwowych Litewskich Kolei (Lietuvos Geležinkeliai), które już w 2008 r. rozmontowały tory prowadzące z Możejek na Łotwę, skąd paliwo odbierał tamtejszy przewoźnik po przystępnej cenie. W efekcie rafineria została zmuszona do korzystania z usług Litewskich Kolei, które narzuciły litewskiej spółce Orlenu zdzierczą taryfę, według polskich menadżerów o 30% wyższą od standardowej. Koszt zresztą wzrósł i przez to, że nowa trasa okazał się dwukrotnie dłuższa. Gdy Orlen zapowiedział budowę rurociągu do portu w Kłajpedzie litewskie władze gwałtownie zaoponowały przeciw takiej koncepcji na pozbycie się monopolu ich kolei. W efekcie możejska spółka od lat jest kamieniem u szyi polskiego potentata naftowego. W latach 2007-2013 tylko raz osiągnęła dodatni wynik finansowy. Z powodów politycznych Polska zdecydowała się na dogodzenie Litwinom poprzez utrzymywanie potężnego zakładu zatrudniającego około 2 tys. osób. Orlen Lietuva jest w tej chwili największym płatnikiem podatków na Litwie, odpowiada za 3,5% PKB tego kraju, odpowiada też za większość przychodów Litewskich Kolei. Mało kto pamięta, że jedyna litewska rafinera powstała w wyniku decyzji władz Związku Radzieckiego, który stworzył ją nie na potrzeby lokalnych konsumentów lecz stacjonujących w ówczesnej republice związkowej oddziałów Armii Radzieckiej. „Dziś widać, że to nie była udana inwestycja. Trzeba się pogodzić, że zainwestowanych pieniędzy nie uda się odzyskać. Musimy robić wszystko, by strat nie powiększać” – komentował rok temu Sławomir Jędrzejczyk, wiceprezes zarządu Orlenu.

Polska dołożyła usilnych starań aby wzmacniać bezpieczeństwo energetyczne nie tylko aspekcie Możejek. Kraj ten bowiem pod względem sieci elektroenergetycznych nadal pozostaje w ZSRR. Nakładem miliarda złotych Polska zaangażowała się w budowę mostu energetycznego, który połączy Litwinów z naszą siecią. Unia dołożyła na nasz wniosek prawie 800 milionów. Litwa zainwestowała wielokrotnie mniej. Most to nie tylko infrastrukturalne zabezpieczenie na wypadek gdyby Rosjan zaświerzbila ręka nad pstryczkiem. Nawet polscy politycy i menadżery nie ukrywają, że energię będziemy głównie importować by pokryć braki w zasilaniu województwa warmińsko-mazurskiego. Litwini zatem dobrze zarobią na naszym zatroskaniu o ich bezpieczeństwo energetyczne. Most energetyczny zostanie prawdopodobnie ukończony w tym roku i jest jednym z nielicznych wielkich projektów infrastrukturalnych, które potrafiliśmy zrealizować w zaplanowanym terminie.

W tle pozostaje jeszcze budowa Via Baltica i Rail Baltica – drogi i linii kolejowej łączących Litwę z Polską i resztą Europy korytarzem transportowym z prawdziwego zdarzenia. I znów o ile dla gospodarki litewskiej inwestycja ma strategiczne, priorytetowe znaczenie, dla nas kierunek na Wilno, Rygę, Tallin ma charakter drugo, jeśli nie trzeciorzędny.

W niewoli dogmatów

Krótki przegląd kilku w istocie strategicznych i kosztownych inicjatyw polskiej polityki całkowicie zaprzecza wyrzekaniom obecnej opozycji na schładzanie relacji z Litwą przez Tuska czy Sikorskiego. W istocie poza frazeologią, Polska nadal odgrywała rolę dobrego wujka nadskakującego niegrzecznemu siostrzeńcowi. I to mimo tego, że ten okazuje się rozwydrzony bachorem otwarcie okazującym lekceważenie już nawet nie na poziomie praktyki politycznej ale demonstracyjnie, na poziomie politycznych deklaracji i gestów. Kolejny rząd ustawił Polskę nisko w priorytetach polityki zagranicznej. Prezydent Dalia Grybauskaitė w swoim orędziu z czerwca 2013 r., które nawet znany litewski dziennikarz Rimvydas Valatka uznał za „wyjątkowo antypolskie”, oeniła dopuszczenie języka ojczystego mniejszości polskiej do publicznego używania za potencjalnie „uderzające w integralność kraju”. Cynicznie oskarżyła polskie władze o ograniczanie szkolnictwa mniejszości litewskiej w naszym kraju. Od trzech lat bojkotuje zaproszenia na obchody polskiego Dnia Niepodległości.

Po co zatem Polska naprasza się ze swoim partnerstwem Litwie mimo wymierzanych jej policzków i dyskryminacji polskiej społeczności w tym kraju? Nikt nie wie po co więc nie trzeba się obawiać, że ktoś zapyta – można by skomentować cytatem z barejowskiego „Misia”. W kwestii litewskiej bowiem bardziej niż w jakiegokolwiek innej kwestii polityki wschodniej objawia się jej dogmatyzm zasadzony na nieprzepracowanych historycznych traumach. Spolegliwa polityka wobec naszego sąsiada to prosta projekcja ideologii giedroyciowskiej powstałej w czasach zimnej wojny, która każe spalać zasoby polityczne i materialne państwa polskiego w ramach wspierania Litwy, Białorusi czy Ukrainy, a właściwie wspierania przeciwrosyjskich tendencji w tych krajach. Wychodzi ona z założenia, że Polska jest egzystencjalnie i niemal bezpośrednio zagrożona przez Rosję, zaś trzy poradzieckie republiki o ile zajmą stanowisko antyrosyjskie będą stanowić kordon oddzielający nas od owego zagrożenia. Oba założenia nie mają wiele wspólnego z obecną rzeczywistością. Rosja wszak prowadzi ograniczoną operację militarną, której celem jest właśnie utrzymanie Ukrainy w roli bufora, po tym gdy porewolucyjne władze kijowskie prą do integracji ze strukturami zachodnimi. Zastosowała wariant mołdawski biorąc niewielki zastaw terytorialny skutecznie kotwicząc Ukrainę w strefie buforowej.

Jeszcze bardziej nonsensownym jest jednak rozpatrywanie Republiki Litewskiej w kategoriach strategicznego sojusznika czy chociażby bufora wobec Rosji. Nie może ona odgrywać tej drugiej roli już chociażby z powodów geograficznych. Litwa nie oddziela nas ani od obwodu kaliningradzkiego, ani od głównego terytorium Federacji Rosyjskiej, której wyjście na Nizinę Środkowoeuropejską prowadzi przez bramę smoleńską i terytorium Białorusi. Litwa to państwo o powierzchni dwóch polskich województw, gwałtownie się wyludniające – od 2001 r. populacja Litwy zmniejszyła się aż o 16,8% do 2,9 miliona mieszkańców. To tyle ile zamieszkuje w województwie dolnośląskim. Armia złożona z kilkunastu tysięcy

żołnierzy (razem z ochotnikami) pozbawionych lotnictwa i broni pancernej w rankingu globalfirepower.com sklasyfikowana w zeszłym roku na 103 miejscu na 106 odnotowanych armii narodowych.

Litwa to kraj pozbawiony poważniejszej bazy przemysłowej z nominalnym PKB ledwie przekraczającym 48 mld dolarów. Państwo to nie jest więc nawet perspektywicznym rynkiem zbytu. Obroty handlowe z Litwą wyniosły w zeszłym roku 3 415 milionów złotych co stawia je dopiero na 22 miejscu wśród naszych partnerów: 20 pod względem udziału w eksporcie (1,4% jego wolumenu) i 29 pod względem udziału w naszym imporcie (0,7%). Polska tymczasem była trzecim partnerem handlowym dla Litwy po Rosji i Niemczech, zarówno pod względem eksportu jak i importu. Na płaszczyźnie politycznej Litwa reprezentująca 0,7% populacji Unii (trzy kraje bałtyckie to zaledwie 1,5% unijnej populacji) nie odgrywa praktycznie żadnej roli w procesie podejmowania decyzji na poziomie Unii Europejskiej. Zresztą polityczna batalia w kwestii przyjmowania nielegalnych imigrantów, zakończona tak haniebną kapitulacją rządu Ewy Kopacz, wyraźnie pokazała, że Litwa nie czuje się częścią Europy Środkowej. Władze litewskie nie przyłączyły się do Grupy Wyszehradzkiej, która do rejterady Warszawy stanowiła opozycję wobec forsowanego przez Niemcy planu podziału imigrantów między wszystkie państwa członkowskie.

Litwa nie jest częścią Europy Środkowej

Kryzys migracyjny uwypukla zresztą to o czym pisałem jeszcze w czerwcu: „w sensie geopolitycznym nie istnieje nic takiego jak Europa Środkowowschodnia”.

Istnieją dwa regiony całkowicie odrębne ze względu na swoje uwarunkowania, przesłanki i interesy funkcjonujących w nim aktorów”. Państwa bałtyckie w tym Litwa prowadzą politykę antyrosyjską i koncentrują się na szukaniu na zachodzie protektora wobec Moskwy, którą postrzegają jako zagrożenie. Nie szukają go w Warszawie, lecz w Waszyngtonie, Berlinie i Brukseli. Gdy Litwa przechodziła na walutę euro z początkiem bieżącego roku tamtejsi politycy nawet nie ukrywali, że jej przyjęcie postrzegają w kategoriach bezpieczeństwa, które widzą w maksymalnej integracji ze strukturami zachodnimi. Tymczasem wszystkie kraje Europy Środkowej poza Polską definiują swoje interesy całkowicie odmiennie. Czechi, Słowacy i Węgrzy nie postrzegają Rosji jako egzystencjalnego zagrożenia, mało tego ich przywódcy, na ile tylko mogą, starają się utrzymywać z Moskwą poprawne relacje, tak aby służyły lewarowaniu ich pozycji w UE. Szczególne sukcesy w polityce tej osiągnął węgierski premier Viktor Orban.

Zarówno Orban jak i nasi południowi sąsiedzi wyciągają polityczne wnioski z tej oczywistej konstatacji, że od ćwierćwiecza nie jesteśmy już członkami RWPG i Układu Warszawskiego, od wielu lat jesteśmy natomiast członkami NATO i Unii Europejskiej. Kryzys migracyjny jest ostatnim ale bardzo dobitnym dowodem w jak niekorzystnym dla Europy Środkowej kierunku te struktury zmierzają – kompletnego zmajoryzowania naszego regionu przez Niemcy i ich zachodnieuropejskich sojuszników. Czesi, Słowacy i Węgrzy rozumieją wydawałoby się oczywistą, oczywistość – zagrożeniem dla podmiotowości czy wręcz formalnej suwerenności naszych państw nie jest dziś Władimir Putin lecz idące na pasku Angeli Merkel instytucje Unii Europejskiej. W tym sensie optyka i polityka Litwy, tudzież innych państw bałtyckich, która wynika rzecz jasna z ich odrębnych, określanych przez mikry potencjał i inne położenie geograficzne, uwarunkowań, różni się zdecydowanie od polityki państw środkowoeuropejskich.

W sensie geopolitycznym Nadbałtyka w tym Litwa stanowi odrębny od Europy Środkowej region. Jeśli polskie elity określają swoje interesy i politykę w sposób podobny do tego jak to czynią państwa nadbałtyckie to wynika to właśnie z ich kompleksów i zideologizowania w duchu giedroyciowskiej ideologii. Powodowało to zresztą i powoduje naszą izolację w Grupie Wyszehradzkiej będącej rdzeniem regionu. Refleksja ta może być odpowiedzią na twierdzenia kręgów prometejskich, szczególnie tych skupionych wokół Prawa i Sprawiedliwości, które ugodową politykę wobec Litwy i powrót do „strategicznego partnerstwa” z tym państwem prezentują w kategoriach odzyskiwania wiarygodności w regionie i sięgania po pozycję jego „naturalnego lidera”. Tymczasem jest wprost przeciwnie. Wszystkie pozostałe państwa Grupy Wyszehradzkiej chcą trzymać się jak najdalej od państw nadbałtyckich czy Ukrainy i unikają jak

ognia sytuacji w której mogłyby stać się mięsem armatnim waszyngtońskiej nowej strategii odpychania Moskwy. Polityka oparta na ideologii giedroyciowskiej czyni nas outsiderem nie liderem Europy Środkowej.

Litwy nie da się obronić

Jest jeszcze jeden aspekt, którego polskie ale i litewskie elity zdają się nie rozumieć. W razie jakiegokolwiek faktycznej konfrontacji z Rosją, o której roją warszawscy politycy i publicyści, nie tylko niesłonne do jej prowadzenia Paryż i Berlin, ale także Waszyngton spiszą państwa bałtyckie na straty.

Polskie media chętnie cytowały informacje prestiżowego dwumiesięcznika „Foreign Policy”, który doniósł niedawno, że Pentagon po raz pierwszy od 1991 r. opracowuje plany konfliktu wojennego z Moskwą, za najbardziej prawdopodobny uznając jej atak na „Pribałtikę”. Tymczasem już kilka dni później „FP” informowało, że w ciągu ostatnich 15 miesięcy sztaby wojsk lądowych i lotnictwa U.S. Army przeprowadziły 16 gier sztabowych, w których rozważano różne scenariusze walki z Rosją w tym regionie. USA wszystkie przegrały. „Wniosek był prosty: nie potrafimy obronić państw bałtyckich” – podsumował jeden z oficerów organizujących symulacje. George Friedman szef agencji Stratfor zwanej „cieniem CIA” często wyraża to, czego amerykańskim politykom i urzędnikom powiedzieć nie wypada. W wydanej w 2010 r. książce „Następna dekada. Gdzie byliśmy i dokąd zmierzamy” Friedman ocenił, że „polityka krajów bałtyckich jest strategicznie ofensywna a taktycznie defensywna, co staje się obciążeniem”. Jak twierdzi ich położenie geograficzne „nie pozwala na skuteczną obronę”. Dlatego podpowiada, że władze USA powinny jedynie „markować poparcie dla nich” w celu „szachowania” Rosji, aby „uzyskać od niej maksymalne koncesje w zamian za wycofanie się z tego regionu”. Co ciekawe nawet Friedman odnosi się do irracjonalnych emocji Polaków związanych z państwami nadbałtyckimi i radzi przyszłym amerykańskim prezydentom: „biorąc pod uwagę wrażliwość Polaków, taki manewr odwlekać najdłużej, jak tylko się da”. Taki sam scenariusz Friedman pisze zresztą dla równie fetyszyzowanej przez polskie elity Gruzji.

Figury i pionki

Po analizie obiektywnych uwarunkowań dochodzimy do wniosku, że na każdym poziomie – od egzystencjalnych potrzeb związanych z bezpieczeństwem po stosunki ekonomiczne i polityczne w ramach UE Litwa potrzebuje Polski. Polska natomiast nie potrzebuje Litwy, nie ma nam ona nic do zaoferowania. Mimo to od 25 lat to Warszawa jest czołowym orędownikiem Republiki Litewskiej na arenie międzynarodowej i zaspokaja za darmo jej interesy we wszystkich wymienionych sferach. To my mamy ciężkie figury na tej szachownicy, Litwini tylko pionki. Mimo to polskie władze nigdy nie zdecydowały się na wykorzystanie swojej przewagi w jedynej kwestii, która powinna przyciągać uwagę państwa polskiego na Litwę.

Na Wileńszczyźnie zamieszkuje zwarcie, stanowiąc większość mieszkańców w dwóch rejonach i w szeregu gmin siedmiu kolejnych rejonów, wspólnota ponad 200 tys. Polaków. Są to dawni obywatele II Rzeczypospolitej, a najczęściej ich potomkowie, których rody zamieszkują na historycznej Wileńszczyźnie od wieków. Ludzie ci wytrwale podtrzymują swoją polską deklarację narodową mimo, że państwo polskie nie było w stanie ich obronić przed apokalipsą drugiej wojny światowej, komunistycznym totalitaryzmem, ale też zinstytucjonalizowaną dyskryminacją w czasach niepodległej Litwy. Z tego faktu zresztą wynika szczególne zobowiązanie Rzeczypospolitej wobec nich. Są oni obiektem polityki de facto obliczonej na asymilację. Wspomniana już administracyjna kolonizacja regionu, marginalizacja ojczystego języka Polaków, nawet poprzez lituanizację zapisu nazwisk czy w końcu ograniczanie polskiej oświaty to elementy tej polityki. Stopniowej, prowadzonej małymi krokami, ale konsekwentnej. Nowa minister oświaty i nauki Audronė Pitrėnienė w lipcu tego roku uznała, że pożądanym będzie dalsze wprowadzanie języka litewskiego do polskich szkół jako wykładowego na kolejnych lekcjach (na razie po litewsku wykładane są trzy przedmioty). Litewscy politycy jako wzór prezentują rozwiązania łotewskie gdzie w szkołach mniejszości narodowych w ich języku prowadzone są dwa przedmioty. Faktycznie dążą więc do likwidacji sieci szkolnictwa polskiego w jego obecnej formie, która istniała na Wileńszczyźnie nawet w czasach sowieckich.

Czy w sytuacji katastrofy demograficznej w Polsce stać nas na tracenie całych mas ludności tuż za jej granicą, poczuwających się tak silnie, tak lojalnie do związku z nią i polskim narodem? Jaki sens ma rojenie o wielkich grach geopolitycznych, w sytuacji gdy kurczy się podstawowy zasób wspólnoty narodowej jakim są składający się na nią ludzie. Być może brzmi to sucho, zbyt sucho, ale z rozmysłem nie wprowadzałem do tego tekstu wątku moralnego wymiaru solidarności narodowej, bez której przecież owa wspólnota polityczna istnieć nie może. Nawet bowiem na poziomie kramarskiej analizy zysków i strat, jakże lubianej przez naszych „państwowców”, poświęcanie Polaków Wileńszczyzny na ołtarzu relacji z Republiką Litewską nie znajduje żadnego uzasadnienia.

Rzeczpospolita nie ma na Litwie interesu ważniejszego niż obrona naszych rodaków. Generalnie poza nimi nie ma tam żadnych poważnych interesów. Republice Litewskiej zaś Polska potrzebna jest w wielu fundamentalnych dla niej kwestiach. Gdy w marcu 2012 r. obserwowałem na ulicach Wilna wielką manifestację lokalnych Polaków przeciw nowelizacji ustawy oświatowej, która jest źródłem ich obecnych problemów, ówczesny wiceprezes Związku Polaków na Litwie Stanisław Pieszko wskazał prostą receptę realnie twardej polityki wobec Litwy. „Wszystko powiązać z kwestiami polskiej mniejszości narodowej” mówił w czasie wywiadu opublikowanego przez kwartalnik „Myśl.pl”. W istocie gdy kiedyś polskie myśliwce znikną z lotniska w Szawlach, gdy Orlen po prostu wygasi produkcję w deficytowej rafinerii w Możejkach, prąd nie popłynie na Mazury, zaś Litwa pozostanie w komunikacyjnej izolacji, dopiero wtedy Litwini odczują ile może ich kosztować dyskryminacyjna polityka. Na razie nie kosztuje ich ona nic.

Karol Kaźmierczak

Artykuł ukazał się w portalu kresy.pl

